

MOJA WALKA O NIEZALEŻNOŚĆ
NA SUROWEJ PÓŁNOCY

WITAJCIE NA CHOLERNEJ ARKTYCE



BLAIR BRAVERMAN



WITAJCIE NA CHOLERNEJ ARKTYCE

BLAIR BRAVERMAN

PRZEŁOŻYŁA
Ewa Borówka



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Welcome to the Goddamn Ice Cube

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Justyna Yiğitler

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Konstantin Tronin, © Tyler Olson (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

WELCOME TO THE GODDAMN ICE CUBE.

Copyright © 2016 by Blair Braverman. All rights reserved.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiعة Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ewa Borówka, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzednie-
go uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2019

ISBN 978-83-65442-58-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiعة

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Żyjemy na planie,
na planie każdy jest aktorem.

– CHARLES BOWDEN

PROLOG



Ja chory jestem – odezwał się Martin.
Siedział przy ogniu skulony na krześle turystycznym.
Trwała noc świętojańska – przesilenie letnie – i drobne, pomarańczowe słońce zawisło nad północnym horyzontem jak spochmurniałe dziecko, które nie chce wyjść z pokoju. Po przeciwległej stronie fiordu, między wodą a górami, migotał rząd małych ogników.

– Bardzo mi przykro – odpowiedziałam.

Poderwał się z miejsca i stanął przede mną.

– Mówili ci? – zapytał. – Założę się, że nie. Nie chcieli się straszyć, takiej ładnej piii jak ty. Nie wiesz, jak to jest. Już niedługo pożyję. Jeśli Bóg się zlituje, to niedługo pożyję.

Oderwałam niechętnie wzrok od płomieni i spojrzałam na niego. Miał może z sześćdziesiąt lat. Jego ciało wydawało się napakowane kośćmi.

– Już nawet kobity nie wyrucham – dodał. – Niedługo zejdę, a nawet kobity nie wyrucham. Pij, pij ten swój cydr.

Pij, póki możesz. Nie wiesz, co znaczy życie z bólem. – Jak na zawołanie zeszytywniał i jęknął, przygryzając mocno wargę. I złapał oddech. – Ale bym cię posunął – powiedział cicho. – Jeden jedyny raz bym cię posunął.

Chyba czekał na reakcję, więc zaczęłam się nad nią zastanawiać. Strach byłby na miejscu – świadczyłby o moim onieśmieleniu. Podarek w sam raz dla umierającego mężczyzny. Wyruchałby mnie? Nie miałam siły o tym myśleć.

Przypomniiał mi się inny mężczyzna, który poprzedniego dnia zaszedł mnie od tyłu i oplótł ramionami. „Skarbeczku – szepnął. – Jesteś już na północ od kręgu moralnego”.

– Sama zobacz – powiedział Martin i zaczął majstrować pobielającymi palcami przy rozporku drelichowych spodni. W szafirowe niebo za jego plecami wystrzeliły iskry.

– Nie musisz mi pokazywać – odparłam. – Wierzę na słowo.

– Tak ci się zdaje. Patrz. – Obniżył spodnie i odsłonił dwie wygięte, białe kości miedniczne i wypełniony do połowy worek stomijny. Trącił go palcami, aż zachlupotało.

Po drugiej stronie ogniska siedzieli ze spletanymi nogami i całowali się namiętnie syn Martina i jego synowa. Erling, ze sterczącym wąsem, miał na sobie czarną ramoneskę, a Berit strój motocyklowy, cały z różowej skóry. Słyszałam pogłoski, że jest szlachetnie urodzoną Saamką, córką człowieka posiadającego najwięcej reniferów spośród wszystkich rdzennych mieszkańców Sápmi, krainy zwanej niegdyś Laponią. Po piasku tarzało się ich dwoje małych dzieci.

Następny mężczyzna, Rune, stał na brzegu zgięty wpół, z naręczem patyków pod pachą i wolną ręką wyciągniętą po kawałek drewna. To on zaprosił mnie do ogniska – na imprezę, jak obiecywał. Ubaw. A teraz zamarł na widok Martina. Zapomniiał, zdaje się, po co sięgał.

Martin opuścił spodnie niżej i odsłonił blade, bezwłose genitalia.

– Widzisz, z czym muszę żyć?

– Dobra jest – odezwała się Berit, odrywając się od męża.

– Już zobaczyła.

Martin zapiął spodnie.

– Tylko żeby zrozumiała.

– Dobry cydr? – Rune wrócił i stanął za moimi plecami.

– Jest jeszcze pięć, jakby co. Kupiłem specjalnie dla ciebie, reszta pije piwo, ale pomyślałem, że może nie lubisz. Może łośność już gotowy. Lubisz łośność, no nie? – Mówił więcej niż zwykle, ale już mu się plątał język. Co chwilę rzucał na mnie okiem, po czym odwracał wzrok.

– A kto to w ogóle jest? – spytała Berit. – Skąd żeś ją wytrzasnął?

To było niezłe pytanie, a trudna odpowiedź – ta prawdziwa – sięgała piętnastu lat i czterech tysięcy mil wstecz, poprzez śnieżycę i otwartą tundrę, klaustrofobiczne jamy w śniegu i pulsującą zorzę polarną, wiele nocy w pojedynkę, niektóre niestety nie. Byłam dwudziestoczerolatką z Kalifornii, kocującą w maleńkiej wiosce w lodowatej Norwegii. Już tu kiedyś mieszkałam i odzyskałam wtedy nieco utraconej odwagi. Teraz wróciłam po latach i potrzebowałam tej odwagi bardziej niż kiedykolwiek. Nie wiedziałam tylko, skąd ją wziąć. Prawda była taka, że Rune mnie odnalazł, bo liczyłam, że ktoś to zrobi. Byle kto.

Odpowiedź prostsza brzmiała: Rune natknął się na mnie w miejscowym sklepie, a ja trafiłam do sklepu w poszukiwaniu wełnianego swetra, sześć lat wcześniej. Miałam wtedy osiemnaście lat, uczęszczałam do miejscowej szkoły ludowej i uczyłam się powożenia psimi zaprzęgami. Na Arktykę przybyłam w poszukiwaniu przygód, ale kierowałam się też

pewną pokrętną logiką: jeśli pozostanę bezpieczna na tej ziemi, może poczuję się bezpiecznie we własnej skórze. A jeśli uratuję własną skórę, to może będę mogła zamieszkać na tej ziemi. Jak dotąd jednak robiłam wszystko na opak. Co istotne, nie miałam ani jednego wełnianego swetra, a na Północy wełniany sweter traktuje się z niemal nabożną czcią. Skoro jest minus trzydzieści, a człowiek marznie, to tylko on ponosi za to winę, bo jego sweter nie jest z wełny. Albo podkoszulek. Albo stanik. Ja nie miałam niczego z wełny, udałam się więc do pobliskiego sklepu z nadzieją na udane łowy.

Inni unikali sklepu – białego klocka stojącego poniżej kościoła, na wcinającym się w fiord szpiczastym cyplu. Wnętrze było zdobne w stare plakaty reklamowe czekolad i loterii i zagracone artykułami pierwszej potrzeby: mlekiem, ziemniakami, przędzą, żyłkami wędkarskimi, skarpetami – wszystkim poza kondomami, których, jak wynikało z doświadczenia właściciela, nikt nie chciał kupować w miejscowym sklepie. Obok lady znajdował się stolik, przy którym miejscowi potrafili godzinami sączyć kwaskowatą kawę i wałkować swoje życiowe tragedie.

– Jeśli tam wejdiesz, to wszyscy na ciebie spojrzą i już cię nie spuszcza z oczu.

To nie była dla mnie żadna nowość. Podeszłam do lady i zapytałam starszawego właściciela – Arild mu było – gdzie znajdę wełniany sweter. Nie tu, odpowiedział. Najlepiej podjechać autostopem do Tromsø, a z powrotem popłynąć dwie godziny fiordem, jeśli uda się złapać prom. Podziękowałam i zniechęcona pomaszerowałam jak niepyszna z powrotem do szkoły, wstępując po drodze na plażę. Czyli nici ze sweterka. Sama bałabym się jechać stopem.

Wyostrzone białe góry po drugiej stronie fiordu łagodniały przy brzegu, rozpływając się niczym stopiony wosk

w niskie wzgórki. Złożona z około dwudziestu domów wioska Mortenhals, jak większość osad w północnej Norwegii, rozciągała się na wąskim paśmie lądu między górami a fiordem, wzdłuż plaży upstrzonej pękatymi drewnianymi łodziami i szafasami do suszenia dorszy. Ryby podaje się ze słoniną (to miejscowy przysmak), a głowy miele się na mączkę i wysyła do Afryki. Z jednej z żerdzi zwisały dwie martwe wrony, przywiązane sznurkiem za łapy, ze skrzydłami skierowanymi prosto w piasek.

Po powrocie do domku zastałam na stopniu przed wejściem trzy złożone swetry i liścik od Arilda, który oznajmiał, że jego córka się wyprowadziła i nie będzie za nimi tęsknić. Podarek wzięłam (niesłusznie) za przejaw szczególnej sympatii i od tej pory zawsze wyczekiwałam załatwiania sprawunków w sklepie, okazji do odwiedzenia sojusznika w tym skostniałym, obcym świecie, choć witaliśmy się zaledwie skinieniem głowy. Z okazji Bożego Narodzenia podarowałam mu kalendarz ze zdjęciami parków narodowych USA, który do końca roku wisiał za ladą.

Gdy więc w śnieżnym czerwcu sześć lat później powróciłam do Mortenhals, w pewnym sensie spodziewałam się spotkania, a tę nadzieję podsycił bez wątpienia fakt, że poza Arildem nadal nikogo na półwyspie nie znałam. Zastałam go za sklepem, niosącego owcom worek granulowanej paszy. Zakreśliło mi się w głowie: oto postać z mojego dawnego życia, tuż przede mną. Arild zmrużył oczy i wciągnął worek na biodro.

– Wróciłam – oznajmiłam i wyszczerzyłam zęby.

– No – odparł. – Wróciłaś.

Wymieniliśmy spojrzenia. Arild poprawił worek z paszą i strząsnął śnieg z butów.

– Chciałam o coś zapytać – odezwałam się, naraz oniesmielona. – Czy mogę się przespać w starym domu na wy-

brzeżu? Jestem tu przejazdem, zostanę tylko na parę dni.

– Miejscowi nazywali go domem widmem, stał pusty od czasów wojny. Nie miałam wątpliwości, że Arild się zgodzi.

– Zburzony – odpowiedział. – Owce wpadły do piwnicy.

– O.

Nieopodal wylądowała mewa i ruszyła w podskokach w naszą stronę.

– Nie ma co stać na zimnie – odezwał się Arild. Przepędził mewę udawanym kopniakiem, stęknął cicho, poprawiając worek, i odwrócił się w stronę owczarni.

– Na pewno się jeszcze zobaczymy.

– Na pewno – przytaknęłam. – Na razie.

W zasadzie było całkiem ciepło.

Snułam się po plaży i zadawałam sobie pytanie, czego się spodziewałam. Najwyraźniej oczekiwałam zbyt wiele. Wróciłam i nie mam nikogo. Do domu mogłam polecieć dopiero za dwa miesiące i zaczęłam dochodzić do wniosku, że cały ten wielki powrót, który z wcześniejszej perspektywy wydawał mi się nieodzowny, to może jednak lekka przesada. Co ja właściwie chcę udowodnić? Że Północ mnie nie odstrasza, że mogę wrócić i poczuć się jak u siebie? Odkąd jako dziesięciolatka pierwszy raz zamieszkałam w Norwegii, szukałam tu domu – miejsca, w którym bym zapuściła korzenie, do którego mogłabym wracać. Ale teraz, po dwóch tygodniach spania w nieznajomych miejscach i łapania na stopa tirowców na stacjach benzynowych, wcale nie paliłam się do dalszej drogi.

Weszłam w głąb lasu i znalazłam miejsce na biwak – połatana śniegiem polanę. Rozłożyłam namiot i śpiwór, wyjęłam też paralizator, którego trochę bałam się tykać. Nazajutrz rano nie miałam ochoty wracać do sklepu, ale zgłódniałam. Przy kawie siedziało trzech mężczyzn.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059